

Dorota Miśka

Literacka ekumena, czyli protestancko-katolicki świat Jerzego Pilcha

Temat szkicu, co wytrawniejszym czytelnikom, wydać się może przewrotny. Jeśli odnieść go do motywu jedności chrześcijan w literaturze polskiej XX i XXI wieku, Jerzy Pilch z trudem będzie mieścił się w tym ekumenicznym nurcie. Gdyby zaś „ekumenę” potraktować zgodnie z grecką etymologią (*oikumene*), a więc jako określenie całej zamieszkałej ziemi, twórczości wspomnianego autora również niepodobna tym słowem opisać. W istocie przewrotny jest już sam artystyczny zamysł twórcy. Bo kiedy w końcu na rynku wydawniczym pojawia się, ku uciesze współwyznawców, pisarz oficjalnie ewangelicki¹, spodziewać by się mogło zaciętej walki o równe miejsce pośród autorów katolickich. I to bynajmniej nie ze względu na literacki kunszt, co raczej sposób prezentacji przedstawianego świata. Tymczasem Jerzy Pilch czyni coś zupełnie niespodziewanego. Mimo iż wielokrotnie podkreśla swoją etnograficzną tożsamość, zdaje się wychodzić ponad „prywatną ojczyznę”, sięgając do obrazów z wielkich, centralnie położonych i wyznaniowo raczej jednolitych miejsc. Opisując wiślańsko-ewangelicką wspólnotę czyni to już z perspektywy człowieka spoza niej, paradoksalnie jednak wciąż pozostając jej wiernym. Podobnie ta kategoria swojskości i obcości wkrada się w kreowane przez niego życie katolickie, z którym przecież bardziej niż wielu jego krajan, chcąc nie chcąc, musiał się zderzyć. Bynajmniej nie wypływa stąd wniosek, jakoby Pilch Jerzy nigdzie nie czuł się naprawdę u siebie. Chodzi raczej o świadomość, jaką zyskał wyrывая się z beskidzkiej krainy, świadomość, która z kolei dała mu sposobność do takiej a nie innej kreacji literackiej rzeczywistości. Niejednokrotnie

podkreśla się obecność tematu protestanckiego w tej twórczości, zupełnie zapominając, iż katolicyzm, w niespotykanej dotąd formie, również w niej funkcjonuje. Autor z jednej strony obala wiele międzywyznaniowych stereotypów, z drugiej zaś w niegroźny i niezwykle urokliwy sposób podsycy wzajemne uprzedzenia. Zabieg to z całą pewnością interesujący, choć może stosowniejszym jego określeniem byłby nie tyle ekumeniczny dialog, co równie ekumeniczna polemika.

Nie sposób nie rozpocząć od historyczno-socjologicznego tła. Kiedy 31 października 1517 r. profesor uniwersytetu, mnich zakonu augustianów, dr Marcin Luter przybił na drzwiach kościoła zamkowego w Wittenberdze swoje *Tezy*, świat zmienił się raz na zawsze. Od tamtej pory rzesze dwóch, odmiennych pod wieloma względami, obozów stoją naprzeciw siebie przypatrując się antagonistom z ciekawością i zdumieniem, lękiem o utratę własnej tożsamości i niechęcią wobec tego, co odmienne. W Polsce, ojczyźnie Jerzego Pilcha, sytuacja wygląda nieco inaczej. I aby zrozumieć wszelkie jego prozatorskie chwytły, spojrzeć na nie badawczym, obiektywnym okiem, należy pozycję Polaka-ewangelika, w życiu i literaturze, również nieco nakreślić. Na użytek niniejszej pracy kraj ten trzeba by, ze względu na wyznaniowy pluralizm, podzielić na dwie zasadnicze części: Śląsk Cieszyński i tak zwaną Resztę. Pierwsza, obejmująca rodzinne strony autora, zaludniona jest przez spory odsetek ewangelików augsburskich, którzy w mniejszej lub większej zgodzie z katolikami koegzystują. Drugą zamieszkuje religijnie raczej jednolita społeczność. Tam też, rzecz jasna generalizując, stopień wiedzy na temat kontynuatorów

¹ W krytyce literatury funkcjonuje wprawdzie pojęcie „pisarza katolickiego” czy też „literatury katolickiej” w ogóle, natomiast określenie „pisarz ewangelicki” zdaje się być ciągle poza oficjalnym obiegiem literackim.

i wynawców nauki Marcina Lutra jest niemalże zerowy. Dla przeciętnego Polaka bowiem, protestant jest zjawiskiem na tyle egzotycznym, że od wieków przypisuje mu się tak wyróżniające cechy jak choćby fakt posiadania szóstego palca u nogi². Trudno dziwić się takiemu stanowi rzeczy, skoro topos niekatolika w literaturze polskiej ogranicza się zasadniczo do postaci Jankiela, Mendla Gdańskiego czy Szlangbauma z *Lalki* Bolesława Prusa. Co więcej, w jednym z podręczników do języka polskiego w szkole średniej, znaleźć można podsumowanie reformatorskiego ruchu o nieco subiektywnym charakterze: „Luter odrzucał w praktyce wolność ludzką, co było sprzeczne z renesansową koncepcją człowieka. Reformacja, wyłoniwszy się ze studiów humanistycznych, zaprzeczyła w końcu istocie ruchu humanistycznego [...]”³. Trudno zatem zanegować wielkie zasługi Pilcha na polu szerzenia wiedzy o mniejszościach wyznaniowych w Polsce, jak również fakt wprowadzenia do rodzimej literatury tak obszernie prezentowanego motywu Polaka-ewangelika z krwi i kości. Trudno wszakże analizować stopień literackiej deformacji, gdy wie się niewiele o jej przedmiocie. I chociaż jego proza, w swoim założeniu, służy może bardziej delectowaniu się słowem, zabawie konwencją niż wypełnianiem luk z zakresu wspomnianej tematyki, to jednak jej społeczna funkcja jest ogromna. Mało tego, iż przeciętny katolicki czytelnik dostrzeże w końcu obecność innych chrześcijan w swoim kraju, przekona się, iż (standardowo) pięć palców u nóg mają, to jeszcze zyska pewną wiedzę na temat ich życia. Bo czyż inaczej rozróżniłby jutrznię od pasterki, kardynała od biskupa kościoła, oazę od młodzieżówki czy bierzmowanie od konfirmacji? Należy wszakże zaznaczyć, iż niewiedza na temat braci w wierze jest rzeczą powszechną również w protestanckich kręgach. Tak też typowy wiślanin nie wyjaśni raczej jak zmówić koronkę, czym patronem jest św. Antoni lub jak

zaśpiewać apel jasnogórski... Jerzy Pilch z całą pewnością typowym wiślaninem nie jest, gdyż to, co robi określić można mianem stawiania pomostu między nieco hermetycznym, południowopolskim, zreformowanym religijnie środowiskiem a homogeniczną wyznaniowo resztą kraju. Powstaje natomiast pewna wątpliwość. Dlaczego dorosły mężczyzna, niezależny literat z takim uporem nawiązuje w swojej twórczości wciąż do jednego wątku, nawet jeśli nie czyni go głównym tematem swoich opowieści? Autor daje prostą odpowiedź:

*Ponieważ moje dzieciństwo było dzieciństwem wiślańsko-cieszyńsko-protestanckim, a jestem człowiekiem piszącym, to ja – choćbym na głowie stawał – a przy tym staram się do literatury podchodzić w sposób uczciwy – przed tym tematem, tym wątkiem, czy nawet tą aurą – nie ucieknę. To przecież nie jest tak, że ja np. piszę jakąś powieść z problematyki życia protestantów. Nie, ja lubię używać określenia, że coś jest protestanckie. Mam do tego prawo, bo wszystko, co zapamiętałem z dzieciństwa, było protestanckie, więc to nie jest mój wybór. Ja kwestionuję w literaturze istnienie wyboru. Temat wybiera pisarza, a nie pisarz temat. Tak to jest.*⁴

Jerzego Pilcha nazwano kiedyś ewangelikiem Isaackim Singerem⁵. Przy okazji tego określenia warto rozważyć również związek między tematem protestanckim a tematem żydowskim w literaturze polskiej. Związek taki praktycznie nie istnieje. „Jeśli obecnie protestantów jest w Polsce kilkadziesiąt tysięcy, a przed wojną było ich kilka razy więcej – to jest i tak zbyt mało, by wpływać na to, co się nazywa kulturą duchową narodu [...]. Natomiast jak wszyscy wiemy, Żydzi byli osobowością *sensu largo*, co działało wyzwalająco na wyobraźnię literacką samych Żydów, jak filo- i antysemitów.

² Takie twierdzenie pojawia się w *Trylogii* Henryka Sienkiewicza. Zob. J. Pilch, *Szósty palec protestanta*, rozm. przepr. Zbigniew Baran, „Rzeczpospolita” 1996, nr 109, dod. „Plus Minus”, s. 2.

³ K. Mrowcewicz, *Przeszłość to dziś*, Warszawa 2003, s. 28.

⁴ J. Gawlikowska, *Przeboje prozy XX wieku*, Goleiszów 1997, s. 245.

⁵ Zob. M. Ledendź, *Od „Everestu” do Granatowych Gór – jak ewangelicy czytają Jerzego Pilcha*, „Zwiastun ewangelicki” 2004, nr 10, s. 12.

W odniesieniu do luteranów ten problem w takim natężeniu nie istniał⁶. Komentarz tej sytuacji, tym razem w bardziej dowcipnej formie znaleźć można na kartach powieści *Tysiąc spokojnych miast*: „Zawsze, wszędzie i wszyscy, panie Naczelniku, wszyscy brali mnie za Żyda, nigdy nad tym nie bolałem, przeciwnie, byłem kontent [...]. Żydzi kiedyś w Polsce byli, obecnie zaś ich nie ma, natomiast nas, lutrów, kiedyś w Polsce nie było, a obecnie nie ma nas także”⁷.

Przed rozpoczęciem konkretnej analizy wybranych fragmentów tekstów Jerzego Pilcha, warto jeszcze na chwilę pochylić się nad zagadnieniem autobiografizmu w jego literaturze. Sprawa ta wymaga wyjaśnienia przynajmniej z dwóch powodów. Po pierwsze, jeśli główne zagadnienie szkicu oparte jest o życie osobiste autora, a dokładniej o jego duchową przynależność do takiej a nie innej grupy, nie sposób od tej problematyki uciec. Z drugiej zaś strony, wyjaśnienia wymaga fakt dowolnego, bezkarnego wręcz, łączenia i omawiania w niniejszej pracy tekstów różnych gatunków literackich oraz równorzędnego ich traktowania pod kątem badanego zjawiska. Zatem tak samo ważne będzie tu stanowisko wobec obu wspólnot wyznaniowych zarówno Jerzego Pilcha, jako autora felietonów, jak i bohaterów jego powieści. Wszystko bowiem, cokolwiek wychodzi spod pióra prozaika, rodzi się w świecie jego myśli, emocji, obserwacji czy poglądów, z którymi wykreowane przez niego postaci polemizują, bądź które podzielają. Uprawianie twórczości literackiej jest więc jakże często sposobem na kreację wizerunku samego piszącego.

Nie wyobrażam sobie pisarza, który nie sprzedaje swojego życia. Jest tylko kwestia, w jakiej postaci, w jakim opakowaniu jest ten towar. Nawet gdybym pisał powieść z życia templariuszy, to też w jakiejś formie znalazłyby się tam fakty mnie dotyczące⁸

– stwierdza autor w jednym z wywiadów. Czy więc rzeczywiście, w analizowanym kontekście, tak bardzo różnić się będzie oficjalna (przynajmniej z założenia) wypowiedź autora, jak felieton, od słów bohatera wpisanego w świat literackiej fikcji? Czytelnik zdaje się być poddawany nieustannym manipulacjom ze strony literata⁹, który niejako projektuje cykl mitów na swój temat. Trudno o prawdę absolutną, ponieważ autor „[...] nie umie napisać nic, co nie byłoby przynajmniej w pewnej mierze zahaczone o autobiograficzne zwierzenie, a jednocześnie «zwierzyć się» prawdziwie nie potrafi lub w szczerość takiego wyznania z zasady nie wierzy”¹⁰. Piszący wielokrotnie podejmuje jeden wątek, prezentując go w rozmaitych konfiguracjach, po to właśnie by dać relację ze stanu własnego „ja”, ale także wykreować swój obraz. Współcześnie proza ewidentnie ucieka od obiektywizmu, osoba prowadząca narrację zyskuje coraz większe uprawnienia, emancypuje się w końcu, by pociągać za sznurki, bawiąc się (z?) odbiorcą. W przypadku prozy Pilcha sprawa jest o tyle istotna, gdyż cały jego dorobek na polu literatury, nazwijmy ją tu umownie: katolicko-ewangelickiej, jest podjęciem próby zaprezentowania siebie jako wiślańskiego luteranina w konfrontacji z „innowierczym” światem, a także zmuszeniem czytelnika do refleksji, nawet jeśli zrodzić by się miała z nieco żartobliwej formy. „Wartość literatury nie polega przecież na tym, by lustro powieściowego świata odbiło nam nasze własne sądy o sobie i problemach epoki, ale może bardziej na tym, że owo lustro zmusza do rewizji tych sądów, zmusza innymi słowy do intelektualnego wysiłku”¹¹.

Nadszedł w końcu odpowiedni czas, by po nieco rozwlekłym, aczkolwiek koniecznym, wstępie przystąpić do zasadniczych kwestii. Jakie topoty z zakresu omawianej problematyki rysuje w swoich tekstach autor? Jakimi środkami się posługuje? Jaka jest

⁶ J. Pilch, *Szósty palec protestanta*, s. 2.

⁷ J. Pilch, *Tysiąc spokojnych miast*, Londyn 1997, s. 10.

⁸ J. Pilch, *Śliska, róg Jana Pawła II*, rozm. przepr. Tomasz Targosz, „Przekrój” 2000, nr 48, s. 20.

⁹ Zob. Tamże, s. 19.

¹⁰ J. Jarzębski, *Walka felietonu z prozą*, „Tygodnik Powszechny” 1999, nr 3, s. 9.

¹¹ J. Jarzębski, *Powieść jako autokreacja*, Kraków 1984, s. 335.

wreszcie skuteczność tych zabiegów? Gdy czyta się Pilcha nie sposób nie odnieść wrażenia, że ogromna większość jego literackich wybryków, jest właśnie radosną twórczością, pisarską zabawą, gdzie prym wiedzie ironia, a która za główny cel stawia sobie kpinę czy szyderstwo. Tymczasem jakże często złośliwe pamflety na braci katolików, a czasem też na współwyznawców, są jedyną szansą głośnego sprzeciwu wobec tego, co autora najwyczejniej w świecie, żeby użyć kolokwializmu, mierzi. Prawdę powiedziawszy, ten międzywyznaniowy konflikt, jeśli rzeczywiście istnieje, rozgrywa się raczej w podziemiu, i to podziemiu protestanckim. Bo o ile w kręgach zreformowanych zauważyć da się pewne tendencje antykatolickie, w części Polski duchowo podległej Rzymowi nikt nie traktuje ich poważnie. Z lekkim pobłażaniem, a czasem też z żywym zainteresowaniem domniemaną egzotyką polskich dysydentów, wspomina się o nich z rzadka w mediach, wzmianki te noszą jednak zwykle znamiona łaskawej obojętności lub też podawane są w formie zaskakujących, fałszywych zresztą nowin. Przywołać należy tu felieton zamieszczony w zbiorze *Pociąg do życia wiecznego*, w którym autor nie kryje swojego oburzenia:

„Nie wszyscy przełamują się w wigilię opłatkiem – informuje świąteczny Dziennik. – W ewangelickich domach na Śląsku Cieszyńskim tradycja każe podzielić się szulkami, i to dopiero podczas śniadania w Boże Narodzenie”. Wyznam: nie zetknąłem się [...]. Człowiek widać uczy się przez całe życie. To jeszcze pół biedy. Gorzej, że człowiek, specjalnie „człowiek ewangelicki”, przez całe życie uczy innych, przez całe życie wyklada swą odrębność, przez całe życie objaśnia swoją specyfikę. Ewangelik przez całe życie staje na głowie celem udowodnienia, że nie jest żywiącym się rurkami z ciasta wielbłądem, ale przełamującym się opłatkiem chrześcijaninem¹².

Chociaż głównym środkiem artystycznym zdaje się być tu ironia, została włączona w walkę o sprawę, wydawałoby się, dla felietonisty istotną –

Zawsze mnie te symptomy śmieszyły, zawsze kilkadziesiąt tysięcy garstka moich współwyznawców nerwowo reagująca na jakąkolwiek publiczną wzmiankę o sobie rozczuliła swoją bezbronnością. Cóż z tego – mówiłem sobie – że publiczne wzmianki o ewangelikach są zawsze sporadyczne i przeważnie nieprecyzyjne? Są sporadyczne, bo nasze plemię sporadycznie na ziemiach polskich występuje, i są nieprecyzyjne, bo z racji sporadyczności mało kto z zewnątrz ma wgląd w nasze obrzędy¹³.

Dalej Pilch przywołuje dokument wydany przez ówczesnego prezydenta, Lecha Wałęsę, który głosił, iż „ewangelicy są bliscy nam, Polakom¹⁴”. To tylko potwierdzenie wcześniejszych komentarzy. W całym tekście funkcjonuje wiele zestawień pojęć, zwyczajów iście ewangelickich z quasi-ewangelickimi, dla podkreślenia szczególnej tożsamości luteran w ogóle, w szczególności zaś luteran ze Śląska Cieszyńskiego. Cechą niewątpliwie efektywną dla większości polskiego społeczeństwa, która wspólnotę protestancką wyróżnia, jest możliwość zawierania przez księży związków małżeńskich. I prezentacja duchownych właśnie, fikcyjnych bądź rzeczywistych, żonatych czy w celibacie żyjących, stanowi ważny motyw tej literatury. Nie sposób nie zacząć od osobowości, której Pilch poświęcił nader dużo miejsca w swoich tekstach. Chodzi rzecz jasna o papieża (podobno każdy szanujący się ewangelik określenia Ojciec Święty używa tylko w odniesieniu do Boga Najwyższego) Jana Pawła II. To doprawdy zaskakujące, że osoba, wydawałoby się zupełnie niezwiązana z tą postacią, tak bardzo jej obecność w literaturze polskiej

¹² J. Pilch, *Pociąg do życia wiecznego*, Warszawa 2007, s. 274-275.

¹³ Tamże, s. 275.

¹⁴ Tamże, s. 275.

uwzględnia. Czyżby autor doszukawszy się swojego nazwiska w Księdzę Nehemiasza¹⁵, zauważył też więź między swoim a tamtym imieniem? Kto wie, może niebawem Jerzy Pilch w obawie przed narastającą popularnością, zacznie podpisywać dzieła magicznym JP? Wszak dziwne, że dotąd nie znalazł się w jego dorobku żaden kąśliwy tekst o pokoleniu JP III, fanatycznie czczącym jego twórczość. Rzecz jasna pojawiły się zarzuty, że twórca prawdziwie ewangelicki tyle o zwierzchniku Kościoła rzymskokatolickiego pisze. Sam zainteresowany wyjaśniał:

W mojej luterańskiej codzienności siłą rzeczy nie było miejsca na papieża. Proszę jednak zauważyć, że choć papież tak intensywnie obecny w życiu Polaków, w literaturze w ogóle nie znajduje to odbicia. W pewnym sensie był to mój obowiązek pisarski i obywatelski, pokazać co się w Polsce w tej materii dzieje¹⁶.

Ponadto, i tu się chyba zasadnicza sprawa ujawnia, człowiekowi z zewnątrz, komuś kto niejako z urzędu nie musi oddawać głowie, nie swojego zresztą, Kościoła szacunku, łatwiej pewne rzeczy przemycić, łatwiej papieża postawić w sytuacji niecodziennej, łatwiej w końcu uczynić go nieco enigmatycznym i mocno zmitologizowanym tematem swojej sztuki. Zanim jednak o *Nartach Ojca Świętego*, trochę wniosków z publicystyki. *Polsko ho ho ho!*¹⁷ – to felieton, który poniekąd określa istotę wszelkich „papieskich” tekstów Pilcha: „Każde pisanie Papieżu może być, a nawet w pewnym sensie powinno być, pisanem o sobie, o Jego na mnie wpływie, o tym, jak On innych zmieniał, jak zmieniał świat”¹⁸. Zasadniczo trudno ze stuprocentową pewnością określić, gdzie wkrada się ironia a gdzie jej brak. Ważne natomiast, że gdziekolwiek posądzania

o prześmiewczy ton się pojawiają, dotyczy on zawsze ludzi jako takich, ich do papieża stosunku, ich zaskakujących, niezrozumiałych, nieprawdopodobnych czasem, czasem niedopuszczalnych zachowań. Dyskusji nie podlega też to, iż Karol Wojtyła wywarł wpływ na życie ludzi różnych kościołów, czy to jako osobowość kościelna czy świecka. Jerzy Pilch daje temu wyraz również w mniej poważny sposób: „Pewnie, że historia Polski będzie się liczyć na okresy przed Nim i po Nim”¹⁹. Papież staje się w tej literaturze swego rodzaju punktem odniesienia, dla autora, ale także dla bohaterów jego książek. Nie bez powodu *Miasto utrapienia* rozpoczyna taki oto prolog: „Urodziłem się w roku 1976 – dwa lata po największym w dziejach tryumfie polskiego futbolu i dwa lata przed wyborem polskiego Papieża. Przez całe dzieciństwo, a może i później, byłem absolutnie pewien, że Polska jest odwieczną piłkarską potęgą oraz że papież zawsze jest Polakiem”²⁰. Chociaż pisząc powieść, autor ma wszelkie prawo wykreowania rzeczywistości tonącej zupełnie w literackiej fikcji, Pilch zdaje się wplatać w świat przedstawiony znane jemu samemu problemy, postaci, miejsca... Tak też między otoczeniem Patryka, głównego bohatera, a realnym życiem, istnieją pewne punkty wspólne. Przecież biskupem Rzymu z powodzeniem mógłby zostać Marokańczyk, ale też jakiegokolwiek komentarza o jego obecności mogłoby wcale nie być. Tymczasem na pytanie: „Kim będziesz jak dorośniesz?”, mały Patryk odpowiada: „Papieżem”²¹. Dalej pojawia się zaskakująco dużo, jak na niekatolickiego autora, określeń Jego Świątobliwości: „Ojciec Święty”, „Biskup Rzymu”, „Następca Świętego Piotra” czy „Głowa Kościoła”. Apogeum ekstazy na myśl o objęciu papieskiego urzędu, osiąga bohater nieco dalej: „Fruwałem pod sufitem, wyrastały mi skrzydła, byłem małym, fruującym papieżem i wiedziałem wszystko. Miałem dar

¹⁵ Zob. Tamże, s. 69-73.

¹⁶ M. Legendź, *Od „Everestu” do Granatowych Gór – jak ewangelicy czytają Jerzego Pilcha*, „Zwiastun ewangelicki” 2004, nr 10, s. 12.

¹⁷ Tekst zamieszczony [w:] J. Pilch, *Pociąg do życia wiecznego*, s. 105-108.

¹⁸ Tamże, s. 105.

¹⁹ Tamże, s. 107.

²⁰ J. Pilch, *Miasto utrapienia*, Warszawa 2004, s. 7.

²¹ Tamże, s. 17.

Ducha Świętego, mówiłem językami, umiałem nawet po łacinie [...]”²². Byłby to wyraz pragnień małych kato-lickich chłopców? Jerzy Pilch wielokrotnie daje popis swojej wiedzy na temat „innowierczych” spraw, choć tym razem posługując się wybujałą wyobraźnią dziecka, próbuje, zabawnie wprawdzie, choć mało wiarygodną drogą, wbić się w świadomość Polaków. Przecież każdy rzymskokatolicki młodzieniec wie, iż papieżowi skrzydła nie są potrzebne, gdyż porusza się niezawodnym papamobile, dar języków jest owocem ciężkiej pracy, z łaciną zaś był za pan brat na długo jeszcze przed wyborem na Stolicę Piotrową. Wielki literacki krok w stronę ekumenizmu czyni pisarz na stronie dwudziestej trzeciej swojej powieści, wspominając ku zaskoczeniu obu stron, o papieżu-reformatorze²³. Czy jednak taka hybryda nie stoi w opozycji do swojej wcześniejszej opinii: „Ekumenizm to jest piękna rzecz, ale jest w nim kłopotliwa tendencja do niwelowania różnic. Różnice zaś mogą być nie tylko źródłem konfliktu, mogą też rodzić wartości”²⁴? Póki co warto zanurzyć się w świecie wspomnień autora, który z pewną dozą sentymentalizmu wraca pamięcią do października 1978 roku. Tekst to ani zbyt rzewny ani nadto obojętny. Dla człowieka „spoza” dzień ów okazał się być nie tyle ważną rocznicą, co raczej „niewiarygodną okazją”. A jeśli ktoś tak ujmuje sprawę: „Nawet nie próbuję z literacką demagogią powiedzieć, że jak wsiadaliśmy do taksówki na Syrkomli, wszystko było po staremu, a jak wysiadaliśmy na Prokocimiu, świat był całkiem inny”²⁵, to w prawdziwość przeżycia aż chce się wierzyć. Więcej sarkazmu, więcej ironii w „papieskim kontekście” znaleźć można w felietonie *Prawie jak papież*. Autor kpi, to pewne, jednak obiektem szyderstwa nie jest nowy już przywódca Kościoła, co raczej ludzka głupota. Bo jeśli podczas pierwszej pielgrzymki następcy ukochanego przez naród papieża, tłum wiwatuje, wykrzykując utarte już za poprzedniego pontyfikatu hasła, łudząc się, że tamten wciąż trwa, to musi być w tym trochę paranoi.

Główny koncept tekstu polega na zestawieniu Papieża przez duże „P” z niby-papieżem, którego usilnie próbuje się na tamtego przerobić. Pilch wychodzi ponad oficjalne wypowiedzi na temat zwierzchnika Kościoła, odważnie puentując:

*Bez względu na predyspozycje, talenty, awanse oraz wolę Pana Boga – zostać papieżem to jest tragedia. Zostać papieżem po Wojtyłę – to jest tragedia dramatyczna. Zostać papieżem po Wojtyłę i wybrać się z pielgrzymką do Polski – to jest tragedia wielokrotna, paradoksalna i nieskończenie lustrzanie teatralna: główny aktor jest nieustannie i wyłącznie sprawdzany w roli dublera*²⁶.

W takich sytuacjach rola outsidera bardzo się przydaje, co więcej, służy powszechnemu dobru, gdyż pozwala spojrzeć z innego punktu widzenia. O ile narracja prowadzona tu była z perspektywy wyraźnie zarysowanego, stojącego w opozycji do opisywanej rzeczywistości autora, w *Nartach Ojca Świętego* wszyscy bohaterowie pozostają wewnątrz kręgu uznającego papieski prymat. To nie pierwsza już próba opisanego przez Jerzego Pilcha katolickiej społeczności, z wszystkimi jej przywarami ujętymi już w nowy, a może po prostu bardziej widoczny, sposób. Ponownie tym, co autor wyśmiewa, jest nie tyle postać Ojca Świętego, która zresztą w sztuce ani na chwilę się nie zjawia, a aura, którą wokół niego wytworzyli ludzie. Dramat rozwija, znany powszechnie, wątek narciarski z lat młodości Karola Wojtyły. Po Granatowych Górach krąży nowina, jakoby papież zechciał przejść na emeryturę i resztę życia spędzić właśnie tam. Lokalna wspólnota wyraźnie się ożywia, co więcej, snuje plany poprawy swojej materialnej sytuacji. I tu autor uderza wyraźnie w całość, katolicki przecież, z dewocjonaliami związany interes. Nie tylko jednak dewocjonalia stają się przedmiotem kpiny, bo także, a może przede wszystkim,

²² Tamże, s. 19.

²³ J. Pilch, *Miasto utrapienia*, s. 23.

²⁴ J. Pilch, *Szósty palec protestanta*, s. 2.

²⁵ J. Pilch, *Pociąg do życia wiecznego*, s. 175.

²⁶ Tamże, s. 189-190.

opatrywanie wszystkiego logo JPiI. Mało było Polakom papieskiej kremówki, papieskich książek, kalendarzy, papieskiego szlaku turystycznego, musieli stworzyć jeszcze papieski autobus do poboru krwi, papieskie ulice, szkoły, place, pociągi, papieskie medaliki, koszulki, obrazki... Literat-protestant czyni krok naprzód, rozbudziwszy swoją luterską wyobraźnię, dochodzi do preparowania tak absurdalnych kulinarnych specjałów jak papieski kabanos, polędwica papieska, parówki papieskie, pieczeń papieska, placki po papiesku, pyzy papieskie czy warzywa po watykańsku²⁷. A że wszystko dobre, co się dobrze sprzedaje, Pilch wspinając się na wyżyny humoru, zsyła swoim postaciom dodatkowe źródła finansowe w postaci autobiografii: „Jak zostałem papieżem?”, popularnego poradnika: „Jak zostać papieżem?”, superbestsellera: „Jak zostać papieżem w weekend?” czy też filmy z serii political fiction: „Podwójne życie Ojca Świętego” lub „Podwójne pośmiertne życie Ojca Świętego”. Pomysłowość autora w zakresie chciwości (czyżby charakterystycznej dla katolików?) bohaterów nie zna granic. Papież-Polak jest okazją, szansą dla polskiego narodu, i to szansą także ekonomiczną. Gdyby tak następne konklawe odbyć się miało w Granatowych Górach, mieszkańcy już by się postarali by przygotować: „szczegółowe receptury z uwzględnieniem zawartości kalorycznej i ze specjalnym naciskiem na kuchnię polską, bo to przecież pierwsze i może ostatnie w dziejach konklawe, co się w Polsce odbędzie, i reguła kościelna regułą kościelną, ale przy okazji gości z całego świata, i to samych w dodatku książąt Kościoła, ze staropolską gościnnością podjąć wypada”²⁸. Niemniej jednak główną kategorią, którą dałoby się kreację literackiego Ojca Świętego opisać, pozostaje wciąż mitologizacja. Wyobrażenia ludzi o nim przekraczają granice jakiegokolwiek rozsądku: „Wyobraź pan sobie, że pan masz niczym biskup Rzymu dar Ducha Świętego i widzisz pan przez ściany i podnosisz pan dachy i czytasz w myślach i odgadujesz

zamiary”²⁹. Zwierzchnik staje się raczej wszechobecna, wiecznie żywą legendą: „Ojciec Święty nie umrze nigdy”³⁰. Są w Granatowych Górach też tacy, co dbają o zachowanie jakiejś równowagi: „Przecież nie duch świetlisty, nie anioł skrzydłami szumiący, nie bóstwo blaskiem oślepiające do nas przybędzie, ale człowiek z krwi i kości. To prawda, Duchem Świętym napełniony następca apostołów i taki, co może z aniołami miał rozmowy, ale też człowiek”³¹. Pilch momentami kpi też z katolickich zasad, bowiem, gdy Jego Świątobliwość na stałe w mieście osiadł, „[...] koniec z wylegiwaniem się całymi dniami [...]. Dziś ostatni taki piątek mamy! Koniec z obżeraniem się kabanosami z rzeźni mistrza Karola Adolfa! [...] Koniec z niemającym na celu podtrzymania gatunku ludzkiego seksem! [...] Koniec ze wszystkim!”³². Całość ma niewątpliwie niezwykle dużo uroku opartego o czasem mniej, czasem bardziej subtelny humor. Utwór bynajmniej nie jest pozbawiony głębokiego celu społecznego. Pośród postaci fanatycznie czczących papieża, dają się słyszeć pewne głosy sprzeciwu, rozsądne na temat uwielbienia jego osoby sądy, zupełnie jakby wypadły z ust samego autora: „Sentymentalny tłumny trans to nie jest miłość. Sentymentalny tłumny trans plus religijne uniesienie plus kult boskiego idola to są wszystko wyraziste zjawiska...ale nie miłość”³³. Pilch kończy po mistrzowsku. I ekumenicznie. Ekumenicznie, bo wyrażając myśl protestancką, choć w katolickim przebraniu, trafia w sam środek „innowierczych” serc:

„Przestaliśmy go zauważać, przestaliśmy o nim myśleć, stał się dla nas naturalny i przezroczysty jak powietrze. Był jakby od zawsze i chyba wszystkim się zdawało, że będzie na zawsze [...] przestaliśmy mu kibicować. Byle jaki doping przez szkło telewizora mało znaczy. Pewnie, że jakby przyjechał, tobyśmy [...] poskandowali: „Zostań z nami! Zostań z nami!”. Ale on już nie przyjedzie. Nigdy”³⁴.

²⁷ Zob. J. Pilch, *Narty Ojca Świętego*, Warszawa 2004, s. 25-45.

²⁸ Tamże, s. 156.

²⁹ Tamże, s. 33.

³⁰ Tamże, s. 44.

³¹ Tamże, s. 36.

³² Tamże, s. 23.

³³ Tamże, s. 12.

³⁴ Tamże, s. 165.

Pozostając w kręgu duszpasterzy nieewangelickich, warto wspomnieć o szczególnie zapisanej w pamięci autora parze: księżach Józefie Tischnerze i Andrzeju Bardeckim. Obaj – duchowni „wrogich wyznań”, obaj – drogą ekumenizmu kroczący. Pierwszy, miłość do brata w wierze wyraził w kultowym już haśle (zwracając się do Jerzego Pilcha w budynku redakcji „Tygodnika Powszechnego”): „Wy mi się, kurwa, lutrze czy kalwinie coraz bardziej podobacie”³⁵, drugi do krakowskiego kościoła „na Grodzką” wpadał, co już jest oczywistym zwrotem ku Reformacji. Wspomnienie Pilcha o „dobrym katolickim księdzu”, a jest to w protestanckim żargonie określenie o charakterze oksymoronu, obejmuje każdorazowo postaci absolutnie wyjątkowe i niekonwencjonalne. Kapłan Bardecki, pozostając w serdecznej przyjaźni z pastorem „z Grodzkiej” „przy jakichś ekumenicznych okazjach zabierał głos”³⁶, wzbudzając powszechny zachwyt braci-luteran. Pamięć autora roztacza nad nim prawdziwie magiczną aurę, jako o tym, który „[...] nosi w teczce zamiast kropidła różdżkę i wahadełko, studiuje bioprądy, poważnie traktując chińskie horoskopy [...]”, w dodatku nieustannie się powstrzymując, „żeby śmiechem nie wybuchnąć”³⁷. Wyjątkowości księdza Józefa Tischnera chyba podkreślać nie trzeba. Ważny jest natomiast sposób kreacji tych postaci. W obu przypadkach Pilch konstruuje swoje wspomnienia językiem lekkim, prostym, tak charakterystycznym przecież dla felietonu, nie stroni jednak od urokliwego humoru, który pozwala ożywić mglistą przeszłość. Podkreśla też wyraźnie, iż obaj byli duszpasterzami innego niż on wyznania, co więcej, stawia ich w wyraźnej opozycji nie tylko wobec księży protestanckich ale też względem typowego katolickiego duchowieństwa. Autor, kolejny już raz, niezwykle mocno zaznacza swoją ewangelicką tożsamość. Ona też pozwala mu na tak śmiało zarysowane

postacie „swoich” już wielebnych. Pastor z *Innych rozkoszy* bynajmniej nie jest typem kapłana pokornego, nieustającego w modlitwie, nieszkodliwego, dobrodusznego sługi bożego. Cała jego wyrazista natura ujawnia się w wygłaszanym, na stronie osiemdziesiątej dziewiątej, kazaniu³⁸. Charakter ma silny, równie silną inwencję, mocny głos, mnóstwo uporu i swoje starcze dziwactwa: „Homiletyczne natchnienie spływało nań o najosobliwszych porach dnia czy tygodnia. Bywało, że w środku obiadu, pomiędzy pierwszym a drugim daniem zrywał się od stołu, biegł do siebie, zatrząskiwiał drzwiami, i po trzech, czterech godzinach rozlegał się stamtąd jego donośny głos”³⁹. Łza się w oku kręci tym wszystkim, którzy biskupa Andrzeja Wantułę znali osobiście, gdy czyta się o nim w *Bezpowrotnie utraconej leworęczności*⁴⁰ czy w *Pociągu do życia wiecznego*⁴¹. Pilch nie pisze o nim zwyczajnie. Nie zdaje suchej relacji z faktów życia, nie wychwala pod niebiosa jego cnót. Wybiera ze swej pamięci te wspomnienia, które wydają mu się wystarczająco dla literatury atrakcyjne, łączy je z wątkami z życia swojego i swoich bliskich, koloryzuje czasem, a może zwyczajnie przerabia na atrakcyjniejszą formę, podaje wreszcie w postaci rozgrywających się gdzieś na pograniczu jawy i snu historii...

Mówienie o tej „literackiej ekumenie” odbyć by się nie mogło bez próby zarysowania wykreowanych przez Jerzego Pilcha wspólnot: ewangelickiej i katolickiej. Pierwsza zbudowana jest, rzecz jasna, bardziej wiarygodnie, często jednak uwypuklone są te jej cechy, które autora bawią bądź te, które niezwykle mocno zapisały się w jego pamięci. Obraz drugiej społeczności, będący z wiadomych względów zaledwie jej szkicem, zaprezentowany jest w oparciu o powszechnie panujące stereotypy. Autor wyostrza również to wszystko, co protestantów w polskim katolicyzmie razi, śmieszy, bulwersuje lub przeciw czemu wystąpił ich reformator.

³⁵ J. Pilch, *Upadek człowieka pod Dworcem Centralnym*, Kraków 2002, s. 126.

³⁶ Tamże, s. 190.

³⁷ Tamże, s. 191.

³⁸ J. Pilch, *Inne rozkosze*, Kraków 2000, s. 89-93.

³⁹ Tamże, s. 89.

⁴⁰ J. Pilch, *Bezpowrotnie utracony leworęczność*, Kraków 2001, s. 228-236.

⁴¹ J. Pilch, *Pociąg do życia wiecznego*, s. 145-152.

„Wszyscy jesteśmy ewangelikami” – pada w *Tysiącu spokojnych miast*, i z powodzeniem, gdyby nie ciąg dalszy: „a ewangelicy powinni świecić przykładem”⁴², można by to zrozumieć w nieco szerszej perspektywie. Ilekroć Pilch tworzy silną wyznaniową grupę, tyle razy zabiega, by było to towarzystwo ściśle jednowyznaniowe. Rzadko ma miejsce sytuacja, by pośród sporej liczby protestantów znalazła się równie liczna katolicka wspólnota. Zdarza się oczywiście, że obok hermetycznej społeczności, jak powiada Dariusz Nowacki⁴³, ewangelików-ekscentryków pojawi się jedna innowiercza dusza. Tak jest choćby w *Innych rozkoszach*, co stanowi zresztą swego rodzaju oś kompozycyjną powieści. Zasadniczo w przypadku obu grup da się zauważyć tendencję, by z własnego wyznania czynić jedyny punkt odniesienia. I tak w literaturze tej funkcjonuje podział na: katolików i niekatolików, oraz odpowiednio: ewangelików i nieewangelików. Pozostając przy cnotach wiślan, należy przywołać wniosek autora: „Współbracia moi nie palili papierosów, ciężko pracowali i żyli w doskonałości”⁴⁴. Czyżby czas przeszły miał wskazywać na przemijalność nieprzemijalnych, wydawałoby się, zasad? Prawdziwy ewangelik, ewangelik z krwi i kości mało, że zna Biblię na wylot, mało, że ze śmiertelną powagą traktuje poszczególne wersety, cechuje go jeszcze „nadmierna i trochę bezkarna łatwość w ciągłym powoływaniu się na *Pismo*”⁴⁵. Żyje więc w doskonałości, koniecznie z pełną jej świadomością, nie znając przy tym lepszej do perfekcji niż praca drogi. I to we wszelkich jej, nawet skrajnych, przejawach. Jerzy Pilch z trudem powstrzymuje się od ciągłego odwoływania się do katolickiej mentalności i dogmatyki. Podkreśla, że wprawdzie „teologia protestancka nie hierarchizuje ani nie kategoryzuje grzechów”⁴⁶, jednak za najgorsze przewinienie uznaje lenistwo. Dlatego też (i tu można autorowi wierzyć) palenie jest dla

przykładnego ewangelika rzeczą o niebo gorszą od spożywania napojów alkoholowych. Bo o ile po wypiciu kieliszka wódki ochota do pracy się wzmaga, z papierosem w rękę nie sposób niczego dokonać. Pilch podkreśla ponadto, iż pijaństwo, co by nie mówić, formą aktywności jest. „Lepszy ożralec niż leniwiec” – ma głosić stare regionalne powiedzenie. Zanim w dalszym ciągu krystalizować się będzie portret typowego wiślańskiego obywatela, słów jeszcze parę o szczególnym typie mieszkańca tej ziemi – duchownym. Ksiądz protestancki nie tylko ma żonę, w której nierzadko podkochują się jego parafianie⁴⁷, posiada także spore, śmiertelne wręcz poczucie humoru. Wśród licznych anegdot na temat wielebnych, autor wspomina tak nowatorskie elementy ich mów pogrzebowych jak: „O śmierci okrutna! Czemuś ten dom nawiedziła? Czemuś nie poszła do sąsiada?”. Znalazł się również pastor, co żegnając zmarłego rzucił: „Bądź zdrow”, po chwili refleksji kończąc: „W niebie”⁴⁸. Rasowy ewangelik w wierze swej wzrasta od najmłodszych lat: najpierw chodzi do szkoły niedzielnej, potem na lekcje religii, nauki konfirmacyjne, do kościoła, śpiewa psalmy, odmawia modlitwy, na Tygodnie Ewangelizacyjne jeździ... Osiągnąwszy wreszcie próg dorosłości, pilnuje, by żadne ciemne kotary, żaluzje, rolety, dniem czy nocą, dopływu światła do swojego porządnego lokum nie hamowały, gdyż „okien pobożnego domu, w którym żyje się po bożemu, nie ma potrzeby przed żadnymi przechodniami zasłaniać [...]”⁴⁹. U kresu swojego życia o jedno się troszczy, by przypadkiem nie odejść zimą. Doczekać wiosny wypada, wykorzystując jak najlepiej ostatnie tygodnie życia. I tak starzy wiślanscy ewangelicy: „w miarę sił pomagali w domu, powtarzali sobie niemieckie słówka, bo przecież, kto wie, czy w Winnicy Pańskiej nie napotkają doktora Marcina Lutra, a wtedy będzie wypadało powiedzieć przynajmniej: *Guten Tag Herr Doktor*

⁴² J. Pilch, *Tysiąc spokojnych miast*, s. 105.

⁴³ D. Nowacki, *Zawód: czytelnik: notatki o prozie polskiej lat 90*, Kraków 1999, s. 153.

⁴⁴ J. Pilch, *Bezpowrotnie utracona leworęczność*, s. 151.

⁴⁵ J. Pilch, *Inne rozkosze*, s. 101.

⁴⁶ J. Pilch, *Bezpowrotnie utracona leworęczność*, s. 154.

⁴⁷ Zob. J. Pilch, *Tysiąc spokojnych miast*, s. 101–103.

⁴⁸ J. Pilch, *Bezpowrotnie utracona leworęczność*, s. 70.

⁴⁹ J. Pilch, *Pociąg do życia wiecznego*, s. 6.

*Luther, ich bin also ein Lutheraner aus Weischsel in Polen*⁵⁰. I żeby dochować wierności księdzu doktorowi Marcinowi Lutrowi, dodać wypada, że o ile ewangelicy augsburscy nie kryją swojego oburzenia na narastający w biznesie odzieżowym kult JPiI, to w Polsce pojawiły się już koszulki z podobną reformatora wszechczasów. Co więcej, w jego ojczyźnie podczas religijnych zjazdów rozprowadza się tzw. Lutherbonbon.

Podsumowując zatem: typowy protestant ze Śląska Cieszyńskiego uczestnicząc w niedzielnym nabożeństwie (i tu autor trafia w samo sedno słabości współbraci) ze szczególnym zapalem śpiewa psalm końcowy⁵¹, najbardziej wstydzi się swoich błędów, źle reaguje na słowa Maryja i papież, określenia Ojciec Święty używając tylko w odniesieniu do Boga. Za żadne skarby nie chce się dalej reformować. To, co zrobił Luter wystarczy mu na wieki, a wszelkie zmiany, jakiegokolwiek miałyby być, są złe. Ponadto, dla pań po osiemdziesiątce z Cieszyna charakterystyczne ponoć jest to, że między porannym a głównym nabożeństwem wracają do domu, tylko po to, by nakarmić kota, po czym wracają do kościoła aby ponownie wysłuchać tego samego kazania. Sprawą niewygodną są niewątpliwie związki wyznaniowo mieszane. Co robić, gdy babcia protestanta (Oma), która boi się, że wnuk poślubi „innowiercę”, zapyta narzeczoną, czy przypadkiem nie jest katoliczką? Pilch udziela niezawodnej rady wszystkim zainteresowanym: „musisz się zaprzeć i powiedzieć, że jesteś luteranką. To ją uspokoi”⁵². Kościelny z *Tysiąca spokojnych miast* ostrzega: „[...] sens życia i małżeństwo mieszane to jest jak ogień i woda! Teraz i tak nic nie pojmiecie, teraz i tak lada chwila runiecie w ramiona ponętnych papistek, ale przyjdzie czas i wspomnicie moje słowa”, „[...] was wygubi [...] pochopna wymiana spojrzeń z [...] katoliczką”⁵³! Jerzy Pilch tworzy obraz tej

wspólnoty z pewną dozą słodko-gorzkiego sceptycyzmu, którego nabawił się wkraczając na drogę bardziej uniwersalnej w Polsce religijności. Zdystansowawszy się nieco do swojego wyznania, wplatać zaczął w teksty wątki rzymskokatolickie. Niemal jest porównań, choć obiektywne koligacje zdominowane zostały przez ironiczne złośliwości. „Bracia komunści upadli i nikt już nie przeciwstawi się polskiemu katolicyzmowi, a jest to najgorszy rodzaj katolicyzmu na kuli ziemskiej”⁵⁴. Kpiarski ton ogarnia nie tylko takie jego elementy, jak „[...] ołtarzyk ku czci Matki Boskiej Częstochowskiej. Taki jak trzeba: z portretem, wiecznie świecąca lampką, sztucznymi kwiatami i klęcznikiem”⁵⁵, ale także patronat świętych⁵⁶, rekolekcje określone jako „katolicki łagier”⁵⁷, dewotyzm, czy kult „Najświętszej Paniienki”. Dystans do Kościoła podległego Rzymowi zdaje się być uwarunkowany w głównej mierze przez ilościowy stosunek procentowy obu wyznań. Trudno nie próbować na wszelkie sposoby, również z pomocą literatury, domagać się od świata odrobiny uwagi, miejsca na polu jakiegokolwiek publicznej aktywności w kraju, skoro „niebranie udziału to jest główna cecha ewangelików, zwłaszcza w Polsce”⁵⁸. Pilch pisząc nawet o sprawach dla siebie obcych, ucieka się do łączenia ich ze swoim rodzinnym światem. Ironię, a nawet autoironię, „wpuszcza” w zrytualizowaną rzeczywistość ewangelików augsburskich zamieszkujących Śląsk Cieszyński. Wielokrotnie podkreśla też, iż to wszystko, co w jego literaturze łączy się z tematyką religijną, ma swoje źródło w pamięci, „a jest to właśnie, w pewnym sensie pamięć ewangelicka”. Wspomina dalej:

Moja rodzina była ortodoksyjnie ewangelicka, zaś protestantyzm babci był bardzo odległy od jakiegokolwiek ekumenizmu czy tolerancji. W Wiśle zdecydowanie

⁵⁰ J. Pilch, *Inne rozkosze*, s. 80.

⁵¹ J. Pilch, *Bezpowrotnie utracona leworęczność*, s. 62.

⁵² J. Pilch, *Inne rozkosze*, s. 26.

⁵³ J. Pilch, *Tysiąc spokojnych miast*, s. 69.

⁵⁴ J. Pilch, *Miasto utrapienia*, s. 155.

⁵⁵ Tamże, s. 215.

⁵⁶ Tamże, s. 12.

⁵⁷ Tamże, s. 269.

⁵⁸ J. Pilch, *Tysiąc spokojnych miast*, s. 106.

przeważali ewangelicy. W mojej klasie szkolnej tylko pojedyncze osoby były wyznania nieewangelickiego. Poza tym brat mojej matki jest pastorem, co oznaczało jeszcze silniejsze wzmocnienie tych więzi⁵⁹.

Stąd również tak charakterystyczne u Pilcha spory, przekomarzenia, wzajemne dokazywanie sobie obu grup. I mimo, iż „babka Czyżowa” zasadniczo daleka była od jakichkolwiek form tolerancji i dialogu z „innowiercami”, tracąc słuch, rezygnowała z niedzielnych nabożeństw, by włączyć „[...] na cały regulator radiową transmisję katolickiej mszy.” Co więcej, „[...] nieraz z kamienną twarzą wysłuchiwała homilii do końca. Potem, nie bez furii, wyłączała radio, i nie bez irytacji na nadmierną, ponadwyznaniową szczodrobliwosć Pańską mówiła: «Piękne kazanie, kazanie piękne, to trzeba im zostawić.»»⁶⁰

Autor nie bez kpiny odnosi się do „dysydenckich norm”, żartując:

Mam... mam... mam dar bilokacji. Umiem być w dwóch miejscach naraz... Niczym ojciec Pio. Tak... Mam, niczym ojciec Pio, dar bilokacji i dlatego raduje się na przyjazd Ojca Świętego, albowiem pragnę z nim o tym pomówić...⁶¹,

czy to opisując typową katolicką oazę, osiągając przy tym apogeum wiedzy z tego zakresu. Pilch stosuje zabieg niezwykle ciekawy, wkładając pewne swoje wątpliwości na temat rekolekcyjnego wyjazdu w usta kilkunastoletniej, z całą pewnością nie protestanckiej, Esmeraldy Dorsz z *Miasta utrapienia*:

Dom, w którym mieszkamy, nazywa się Synaj, drugi Tabor, trzeci Karmel, [...] nie ma kolacji tylko jest agapa, nie jadamy w stołówce tylko w refektarzu, obowiązuje ścisła segregacja płciowa, nie wolno chodzić w szortach, co więcej – na mszę dziewczyny muszą chodzić w spódnicach,

ponadto

zero telefonu, zero radia, nie mówiąc o telewizji, zakaz używania walkmana, żadnego kiosku, 6:00 – jutrznia. 7:00 – śniadanie. 8:00 – msza święta [...], potem do południa zajęcia w grupach polegające na czytaniu i omawianiu fragmentów Pisma Świętego oraz dyskusje na tematy takie, jak np. „Godność osoby”, „Powołanie do czystości na każdym etapie życia”... , no a poza tym oazowe piosenki “w rodzaju „Jezus kocha cię”, dużo optymizmu, miłości i wiary w bliźniego⁶².

Pilch jednak nie zawsze daje tak ogromny popis zasobu swoich wiadomości o tym, co obce. Tym razem opisując katolickie kazanie, rozpoczyna je w sposób iście luterski: „Bracia i siostry w Jezusie Chrystusie! Słowa Pisma Świętego przeznaczone na dzień dzisiejszy znajdziecie w księdze proroka Jeremiasza, wiersz 63, rozdział 51...”⁶³. Najbardziej interesujące, a często też niezwykle zabawne, są jednak te fragmenty, w których oba wyznania się ze sobą konfrontują, polemizują, wyciągają w końcu mniej lub bardziej intrygujące wnioski. Tak jest choćby w *Tysiącu spokojnych miast*, gdzie toczy się zaciekle, ogólnochrześcijańska dyskusja:

„Znowu katolicy wszystkiemu winni” – z rozżaleniem zwracał się do protestantów zawiadowca Ujejski – „znowu katolicy wszystkiemu winni. Jak słowo daję, ile razy przyjmę wasze heretyckie zaproszenie na rzekomo ekumeniczną papojkę, tyle razy się dowiaduję, że wszystkiemu winni są katolicy i jako marny, bo marny, ale jednak katolik wychodzę na wała. To jest nie do pomyślenia, żeby w katolickim kraju garsteczka braci odłączonych robiła jakiegokolwiek katolika, nawet mnie, w konia. My niewinni, wyście winni. Było nie robić schizmy”.

⁵⁹ J. Gawlikowska, *Przeboje prozy XX wieku*, Goleiszów 1997, s. 233-234.

⁶⁰ J. Pilch, *Upadek człowieka pod Dworcem Centralnym*, s. 39-40.

⁶¹ J. Pilch, *Narty Ojca Świętego*, s. 28.

⁶² J. Pilch, *Miasto utrapienia*, s. 269-273.

⁶³ Tamże, s. 15-16.

Chociaż zwykle w takich chwilach, przynajmniej na Śląsku Cieszyńskim, a przecież Pilch jest twórcą jak się go tam określa „stela”, ewangelicy podkreślają, iż Luter wcale odłączać się nie chciał, w powieści kościelny kontruje: „Było nie doprowadzać w wiekach średnich do kryzysu papieżstwa. Było nie handlować odpustami”⁶⁴. Polemika trwa jeszcze na następnych kilku stronach, w końcu pada obraźliwe nieco dla Kościoła reformowanego stwierdzenie: „U was może wyjątków nie ma, u nas są. Na tym polega nasza wyższość nad wami. Kościół katolicki to jest Kościół elastycznych intelektualistów a Kościół luterański to jest Kościół dogmatycznych doktrynerów”⁶⁵. Wprawdzie strona ostatnio atakująca powołuje się jeszcze na autorytet Ojców Kościoła, antagonistą mistrzowsko puentuje: „Nas, lutrów, obchodzi Luter”⁶⁶. Co prawda, to prawda.

Przy okazji dialogu między judaizmem a chrześcijaństwem pojawiła się kiedyś myśl, jakoby każdy chrześcijanin był również Żydem. Sąd ten można by, na użytek tej pracy, nieco rozszerzyć. Istnieje jednak spora obawa, iż kręgi protestanckie nie będą przyjmowały z entuzjazmem pomysł, by ewangelików nazywać także katolikami. Ponieważ wyznaniowa większość należy w Polsce do tych ostatnich, Pilch z uporem ucieka się do różnych literackich sposobów, by naród ze zwyczajami swojego Kościoła zapoznać. Korzysta z najbardziej skutecznej chyba metody, tłumaczy bowiem nowe dla większości czytelników zjawiska w odniesieniu do tego, co swojskie:

Trzeci raz [...] widziałam, jak [...] szliście w niedzielę na nabożeństwo do waszego kościoła. Gnana nie tylko ciekawością turystki poszłam za wami, siedziałam z tyłu na ławce pod wieżą. Podoba mi się u Was, że nie trzeba klękać. Ale kazanie nie podobało mi się w ogóle. Kazanie było całkiem przerażające [...]. Miejscowy pastor sprawia wrażenie, jakby o wiele mocniej wierzył w diabła niż w Boga [...]. Jeśli się nie

*mylę, Marcin Luter miał ten sam problem. Nie ma się w końcu czemu dziwić, albo się robi schizmę, albo gra się w gumy*⁶⁷.

Niewątpliwie dzięki sztuce pewne treści są lepiej przyswajalne, zarówno dla obozu uznającego papieski prymat, jak i dla określanych jakże często: „heretycy, pardon, bracia odłączeni”⁶⁸, ewangelików.

Chociaż praca ta stanowi zaledwie nieśmiałą próbę pochylenia się nad tym literackim *novum*, którym jest bez wątpienia część twórczości Jerzego Pilcha poruszająca tematykę protestancko-katolicką z perspektywy pisarza ewangelickiego, niemało wyżywa z niej wniosków, mogących stanowić w przyszłości punkt wyjścia dla dalszych badań.

Autor dając w swoich tekstach rys typowego ewangelika ze Śląska Cieszyńskiego wprowadza do literatury polskiej topos wcześniej w zasadzie niespotykany. Tym samym jego zasługi na polu działalności społecznej nie są wcale mniejsze. Pilch włącza wiślańskiego protestanta w świat ogólny, zdaje się oswajać go z okrutnym, bo wszechobecnym, polskim katolicyzmem. Co więcej, w pewnym stopniu również „uciera nosa” silnej i pilnie strzeżonej społeczności swoich współwyznawców. Pokazuje im samym, poprzez konfrontację z obcym światem, ale także wszystkim wkoło, że ewangelicy nie są bez wad. Co ciekawe, o wspólnocie tej pisze jakby z podwójnej perspektywy. Jako współuczestnik pewnych zdarzeń, rytuałów, stosuje autoironię, do której przecież ma prawo, bo z tej społeczności wyrasta. Zaś jako „ten, który wyjechał”, skonfrontowawszy się z ogólnym życiem, tworzy jak postać z zewnątrz i to ze względu zarówno na pewien sceptycyzm do swojego wyznania, czas, który minął od lat dzieciństwa, jak również odległość przestrzenną, przez podróże z Wisły do Krakowa, i dalej, do Warszawy. Zasadniczo Pilch podejmuje, heroiczną w pewnym sensie, walkę o społeczne uświadomienie, o równe miejsce dla tej religijnej mniejszości wśród całej

⁶⁴ J. Pilch, *Tysiąc spokojnych miast*, s. 106-107.

⁶⁵ Tamże, s. 112-113.

⁶⁶ J. Pilch, *Tysiąc spokojnych miast*, s. 114.

⁶⁷ Tamże, s. 38.

⁶⁸ J. Pilch, *Miasto utrapienia*, s. 26.

reszcy katolików. Często jednak nie sposób uniknąć wrażenia, iż wszystkie te zabiegi stanowią cel sam w sobie. Autor wydaje się szczerzyć swoją odrębnością i z wielkim entuzjazmem kreować się na nieco egzotycznego, a czasem i zmitologizowanego, lutera-
nina. Mimo tego dość silnego poczucia własnej tożsamości, nie rezygnuje z pisania o „innowiercach”, a nawet z niemałą wiedzą (i tu należą się gratulacje) mówi o braciach w wierze ze środka ich środowisk, ich ustami i ich językiem. Mimo iż ucieka się często do obiegowych stereotypów, czyni wiele dobrego dla polskiego Kościoła. Dzięki omawianej twórczości katolicy mogą spojrzeć na siebie inaczej, bo z nowej perspektywy, dostrzegając oznaki typowo polskiej przesady w pozorowanej religijności, czy wypaczeń biblijnej nauki.

Główną kategorią znacznej części literackiego dorobku Jerzego Pilcha jest pamięć. Wszystko to, co opisywane z pewnym nieśmia-
łym sentymentem rodzi się tu z twórczego przetworzenia rzeczywistych historii, miejsc, osób... W stosowaniu kpiny osiągnął autor prawdziwe mistrzostwo, gdyż udało mu się wypracować coś, co Przemysław Czapliński określa mianem „nostalgicznej groteski”⁶⁹. Ironia, wszechobecna przecież u prozaika, „[...] służy nie degradowaniu przedstawianych sytuacji, lecz ich ochronie”, mało tego, „[...] im gęściej ironia się rozkłada, tym szczelniejsza osłona nad ewokowanym światem”⁷⁰. Podobnie jest z prześmiewczym tonem w niektórych „katolickich” fragmentach. „Groteska nostalgiczna” ogarnia przecież postać Jana Pawła II czy to w *Nartach Ojca Świętego* czy w *Mieście utrapienia*. Ilekroć bowiem Pilch żartuje na jego temat, w istocie wyśmiewa ludzkie postawy, papież zaś pozostaje uznanym autorytetem, choć w nowym, ściśle protestanckim wydaniu.

Opisywana tak często Wisła stanowi dla autora podstawowy punkt odniesienia, zdaje się być nie tylko centrum wszechświata, lecz także głównym ośrodkiem wszelkiego działania,

mikrokosmosem, w którym rytm życia wyznaczają uroczystości religijne lub święta rodzinne, jak choćby urodziny Omy (*Inne rozkosze*). Ewangelicka wspólnota funkcjonuje tu zatem w ramach wielopokoleniowych rodzin, w których podstawową kategorią zdaje się być r y t u a ł. Splata się on ściśle z życiem religijnym, zupełnie tak, jak protestancki duchowny ze swoimi parafianami. Tym samym religijna posługa na krok nie odstępuje życia codziennego, tym bardziej, iż nieustannie obecny w społeczeństwie ksiądz nawet kazania przygotowuje na oczach swoich owiec. Pilch zdaje się ocalać od zapomnienia świat, który, jeśli w ogóle jeszcze istnieje, jest już poza zasięgiem literata. W efekcie powstaje coś na kształt starej fotografii, upamiętniającej pewne zdarzenia, postaci, ale także kreującej na nowo dawną rzeczywistość. To zatrzymanie w kadrze protestanckiego zakątka świata, jakim jest Wisła, wyzwala podwójny bieg. Poprzez przywołanie tego, co minione, społeczność ta i jej zwyczaje podlegają mitologizacji, z drugiej zaś strony, Pilch poddaje współbraci procesowi deheroizacji, niwelując nieprawdziwe legendy, od lat unoszące się nad ewangelikami ze Śląska Cieszyńskiego. Tak też jego literacka metoda „[...] polega na akceptacji sztuczności, którą zajadłe zwalcza groteska, i na przekształceniu życia wspólnoty ewangelickiej w zbiór form”⁷¹. Efekt pisarski oparty jest tym samym na wywołaniu pozornie sprzecznego wrażenia bliskości wspomnianego świata przy jego równoczesnej nieosiągalności.

*Pilch ukochał [...] tę wspólnotę nie tylko za jej odrębność, lecz także za jej odizolowanie od reszty świata i reszty czasu; przeszłość, nieco skansenowa, jest autorowi potrzebna, ponieważ stanowi łatwo dla czytelnika zrozumiałą formę zastygłą, wzorzec nie podlegający odkształceniom i nie wprowadzający żadnych zmian do świata zewnętrznego*⁷².

⁶⁹ Zob. P. Czapliński, *Wzniosłe tęsknoty: nostalgije w prozie lat dziewięćdziesiątych*, s. 229-242.

⁷⁰ Tamże, s. 235.

⁷¹ Tamże, s. 236.

⁷² Tamże, s. 242.

Równie ważne jak sposób prezentacji obu wyznaniowych grup jest autokreacja samego twórcy. Pilch bardzo często igra z czytelnikiem, podzucając mu jawne sygnały, by zachować czujność w odróżnieniu literackiej fikcji od rzeczywistości. Jednym z nich jest obdarzanie swoim imieniem bohaterów powieści (np. Jerzyk w *Tysiącu spokojnych miast*). Podobnym zabiegiem będzie dążenie do stworzenia szerszej wizji świata przedstawionego. Autor podejmuje w różnych tekstach ten sam motyw, by za każdym razem umieszczać go w nieco innej formie i nieco innym kontekście. Czytelnik wobec tego sam buduje sobie spójny obraz, składa go z pokrewnych, niczym puzzle, elementów.

W rozważaniach na temat sposobu prezentacji określonych światów, konkretnych rzeczywistości, czy w końcu autokreacji samego

twórcy, nie sposób pominąć pytania o efektywność jego wszelakich literackich zabiegów. Jerzy Pilch, bardziej bądź mniej świadomie, pomaga sobie, swoim współwyznawcom, a wreszcie całej „nieluterskiej” reszcie. Porządkuje świat, wspinając się przy tym na wyżyny literackiego wdzięku. Obaliwszy zespół niepotrzebnych stereotypów, ustanawia nowy, ciekawszy, choć niepozbawiony pewnych „ulepszaczy”, świat. Zdaje się budować pomost między Luteranami z Wisły a resztą społeczeństwa, między Śląskiem Cieszyńskim a katolicką Polską. I chociaż Pilch toczy zaciekły bój o zwiększenie świadomości „innowierców”, mimochodem wyprowadza braci-ewangelików z odległych, bezpiecznych, południowych zakątków w świat rządzący się okrutnymi prawami dużego, centralnie położonego miasta.